

Wszyscy z kamienicy przy Montinue 18 byli na dachu.

Zresztą na innych budynkach, których spadzistość dachu na to pozwalała, także zbierali się ludzie. Nikt nie chciał tego przegapić. Nikt nie chciał przybyć za późno.

Jedni biesiadowali, pijąc, jedząc i kochając się między sobą, jak nigdy dotąd. Inni żarliwie się modlili, wyznając grzechy, jakich nigdy nie wyjawiliby księdzu. A jeszcze inni skakali, chcąc mieć do końca swój los we własnych rękach.

Starszy mężczyzna ubrany w smoking i muszkę śpiewał arię do słońca, a jego zamroczona alkoholem małżonka wymiotowała na suknię w zielone kwiaty. Gość w roboczym kombinezonie tulił do piersi dziewczynkę i rzewnie płakał. Dozorca, sędziwy pan Garrison, ciągle żarł.

Marta Elena Abbott na oczach zdruzgotanego męża uprawiała wyuzdany seks z kochankiem z trzeciego piętra, a babcia Emilka dusiła w dłoniach różaniec. Bracia Mort i Dennis Coenowie, zawodowi złodzieje i utrapienie miejscowych stróżów prawa, darli studolarówki i ćmili szlugi. Były żołnierz włożył lufę do ust. Bezimienny kundel starego Starka, przez dzieciaki nazywany Parszywcem, zrobił kupę.

Melissa Abrams przekroczyła krawędź dachu i zniknęła. W chwilę później dołączył do niej ubrany w motocyklową kurtkę i starte jeansy chłopak, którego nikt nie znał tutaj z imienia.

— Ile zostało? — zapytał grubas z kawałkiem kurczaka w jednym i wielką butelką coli w drugim ręku.

— Trzy dwadzieścia trzy — odparł Luck Stephens, spoglądając na swego ogromnego Casio Waveceptora.

— A więc połowa minęła — skwitował grubas i beknął. Kochanek z trzeciego piętra zaczął dochodzić.

— Może się pomylili? — spytała jedyna z pozostałych przy życiu sióstr Dremond. Uroczą piętnastolatka o ciemnej cerze, w której podkochiwali się wszyscy chłopcy z sąsiedztwa. — Może nic się nie stanie?

Luck Stephens pokręcił głową.

— Nie byłoby orędzia do narodu. Prezydent by nie przemawiał.

Ktoś się schylił po rewolwer, który leżał obok przestrelonej głowy byłego żołnierza. Otarł go w rękaw swetra, jak gdyby bał się zarazić. Następnie przyłożył sobie do głowy. Nastąpił huk.

— I amen — powiedziała z powagą babcia Emilka. — Amen na drogę ci synu.

Mort Coen ściągnął koszulkę, pokazując zgromadzonym wyrzeźbiony sześciopak, a w dłoni jego brata błysnął myśliwski nóż. Pamiątka po ojcu alkoholiku, który, zanim ożenił się z butelczyną, jak nikt inny skórował nim zwierzynę.

— Jesteś pewny? — zapytał Dennis Coen.

— Dawaj — odparł Mort i splunął.

Gość w roboczym kombinezonie, ciągle płacząc, skręcił kark swemu dziecku. Mężczyzna w smokingu skończył śpiewać i usiadł przy żonie, kładąc jej siwą głowę na swych kolanach. Grubas podszedł do krawędzi, ale nie skoczył.

— Ile zostało? — zapytał typa od Casio.

— Dwa dwadzieścia.

— Ciągle nic się nie dzieje — rzekła piętnastolatka, której od wpatrywania w niebo zeszywniał kark.

Naga para popalała papierosy.

Na dole wszystko płonęło. Ulice zaścielały stopy ciał. Co rusz słyhać było sygnał straży pożarnej albo karetki. Ewentualnie zderzające się z czym popadnie samochody.

— P-oo co s-się sta-arają — wydukał wytatuowany okularnik, zarazem mąż pani Abbott. — Cze-mmu nie-e spa-asują?

Chciał coś dodać, ale ktoś z bloku naprzeciwko uznał, że wyśmienitym pomysłem będzie sobie postrzelać ze sztucera i kula rozwalila mu czerep. Nie nastrzelał się jednak długo, bo ktoś z jego własnego dachu uznał, że jeszcze lepszym pomysłem będzie go zepchnąć, sądząc po odgłosie alarmu, prosto na dach samochodu.

Dennis Coen nie był zdecydowany. Przypomniat bratu, że jakby co, mają gnata. Na co Mort pokręcił przecząco głową.

— Nie bądź pizdą, Dennis — strofował swego starszego o dziewięć minut bliźniaka. — Dawaj!

Gość w kombinezonie spojrzal na własny zegarek. Nie tak wypasiony, jak ten kolesia od Casio, ale również działający poprawnie.

Dennis Coen wsadził swojemu bratu nóż, aż po rękojeść.

Z dachu po prawej zeskoczyło sześć osób. Sądząc po tym, że wszyscy trzymali się za ręce, pewnie rodzina.

— Wyglądali jak pierdolony sznur z praniem — rzucił dozorca. — No dosłownie jak biegnący, pierdolony sznur z praniem. Że też dobry Pan pozwala nam na takie pojebaństwa.

Casandra Dremond chciała ponownie powiedzieć, że może jakoś to będzie, ale się zatrzymała ze zdaniem w zębach. Niebo zaczęło jaśnieć.

— Za wcześnie — zakwilił grubas. Następnie zwrócił się do Stephensa. — Ile jeszcze?

— Jeden piętnaście — odpowiedział mu chłopak, wyjmując z plecaka berettę. — Mam kogoś zastrzelić?

Dennis Coen próbował przeprowadzić na sobie harakiri, ale najwidoczniej nie miał do tego smykałki i ledwie co się pochlastał. Siedział więc tylko po turecku w kałuży krwi i bełkotał. Gość w kombinezonie skrzył kark babci Emilce.

— Faktycznie robi się jasno — potwierdził.

— Pytam, bo ja już kończę — ponowił Stephens. — Ktoś się zabiera?

— Dawaj! — wychrypiat Dennis. — Dawaj, dzieciaku!

Na innych dachach chyba także już brakowało cierpliwości, bo strzały było słyhać raz po raz. Na jednym ośmiopiętrowcu grupa ludzi urządziła sobie zawody i skakała teraz całymi dziesiątkami prosto w dół. Ci, co nie chcieli, byli przez innych spychani.

Luck Stephens przymierzył, rozmyślił się, podszedł bliżej. Następnie z odległości dwóch metrów od-dał strzał. Prościutko w głowę Dennisa Coena. Później powiódł wzrokiem po pozostałych.

Kochankowie spali albo nie żyli. Podobnie jak człowiek w muszce, którego żona chrapała w pijackim śnie. Pozostał jeszcze kundel starego Starka, gość w kombinezonie, śliczna piętnastolatka, dozorca oraz grubas. Ten ostatni wyraźnie niepoczieszony.

— Ale to wszystko za wcześnie — biadolił. — Jeszcze nie.

— To na co czekasz? — rozdarł się pan Garrison. — Wpierdalaj, póki masz czas!

Luck Stephens strzelił mu w pierś.

Zrobiło się jaśniej, cieplej i dużo głośniej. Głośno jak jasna cholera.

— Ile to leci? — zapytał grubas. — To... całe światło, czy co tam? Ile leci ze słońca?

— Dane są różne — odpowiedział mu Stephens. — Od ośmiu minut, nawet do ośmiu dwudziestu. Różne źródła rozmaicie podają.

Casandra Dremond zaczęła krzyczeć, bo gość w kombinezonie najwyraźniej zwariował już do reszty i usiłował skręcić jej drobny kark. Stephens strzelił mu w twarz i małą Cass załapała kleista substancja przypominająca żurawinowy sok. Gruby chłopak ponownie spytał o czas i w odpowiedzi dostał kulkę w oczodół. Kundel starego Starka oszczekiwał jaśniejące wciąż niebo. Luck go zastrzelił, a następnie spojrział dobrodusznie na dziewczynę. Mniej stabilne budynki tonęły pod swym ciężarem w tonach gruzu.

— Może to się nie stanie? — zapytała błagalnym tonem Casandra. — Może to tylko...

— Nasze słońce wybuchło — przerwał jej chłopak. — Idziesz czy nie?

Dziewczyna skinęła głową i zapłacała za to kulką w tę samą głowę.

Luck Stephens był skrupulatny i spytał mężczyznę w muszce czy się wybiera. Ten nie otworzył oczu i chłopak to uznał za tak. Następnie, niejako z rozpędu, załadował dwie kolejne kule w twarz jego żony. Później oddał kilka strzałów do kochanków.

W momencie, w którym matka ziemia kończyła swój marny żywot, przystawiał już berettę do własnej głowy.

Niebo dalej jaśniało.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

Canulas, dodano 01.03.2019 10:25

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).